

Debata literacka „30 lat wolnej literatury” – rozmawiają Anna Nasiłowska, Piotr Matywiecki, Marek Ławrynowicz, Anna Janko, Anna Piwkowska, Krzysztof Bielecki

Transkrypcja: Weronika Sokalska i Agata Staniszevska

Marek Ławrynowicz: Witam państwa bardzo serdecznie na debacie literackiej „30 lat wolnej literatury”. Debata jest ściśle związana z obchodzoną przez nas w tej chwili 30. rocznicą powstania Stowarzyszenia Pisarzy Polskich¹, o czym moderująca spotkanie pani prezes Anna Nasiłowska powie parę słów. Zagadnienie jest obszerne i interesujące, ponieważ w literaturze wiele się wydarzyło przez ten czas. Myślę, że ty, Aniu, przedstawiś wszystkich.

Anna Nasiłowska: Witam wszystkich bardzo serdecznie. W roku 1989 powstało Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, do czego środowisko literackie przymierało się przez całe lata 80., od rozwiązania w stanie wojennym Związku Literatów Polskich i zawiązania go na nowo w takiej formule, która była nie do przyjęcia dla większości środowiska. W tej chwili mamy przynajmniej dwie organizacje pisarskie w Domu Literatury, SPP i Związek Literatów, których relacje są – cytując Marka Wawszkiewicza – chłodno-neutralne, a także trzecią – polski PEN Club, którego długo byłam sekretarzem.

Spotykamy się dziś pod hasłem „30 lat wolnej literatury”. Gdy zamieściłam ogłoszenie o tym spotkaniu na Facebooku, spotkałam się z różnymi reakcjami. To zawsze jest ciekawe, co komu w duszy gra. Pewnemu profesorowi zagrało, że my sobie tę wolność uzurpujemy, ponieważ wolna literatura tak naprawdę była już na emigracji, że ta wolna literatura nie zaczyna się w 1989 roku, tylko istnieje od polskiej emigracji niepodległościowej, gdyż rozwijała się w Londynie i tak dalej. Druga reakcja była taka: „literatura nigdy nie jest całkiem wolna, literatura jest zawsze w jakiś sposób związana z podłożem”. Myślę, że ta druga myśl jest wartościowa. Literatura jest wolna i zarazem bardzo związana z podłożem.

Zacznę od przedstawienia dyskutantów. W debacie wezmą udział: Anna Piwkowska, redaktorka PIW-u, poetka, autorka esejów o poetkach rosyjskich – Annie Achmatowej i Marinie Cwietajewej; Anna Janko, poetka, prozaiczka, autorka książki *Mata Zagłada* o doświadczeniach wojennych swojej matki, Teresy Ferenc, i o tym, jak trauma wojenna odcisnęła się na psychice kolejnych pokoleń; Krzysztof Bielecki napisał *Nóż* oraz kilka innych powieści, to autor, który stawia przed sobą ambitne cele artystyczne, pracuje w języku, traktując go jako tworzywo artystyczne; Piotr Matywiecki – poeta, autor esejów

¹ Dalej jako SPP.

na temat tożsamości żydowskiej oraz książki *Twarz Tuwima*, w której jako pierwszy poruszył w takim stopniu kwestię uwarunkowań psychologicznych związanych ze złożoną tożsamością Juliana Tuwima oraz jego reakcjami na ataki antysemitki, a także z jego mało znanymi wystąpieniami powojennymi, które świadczą o tym, że Tuwim nie zapomniał, kim był – przede wszystkim poetą. Ja zaś nazywam się Anna Nasiłowska i jestem poetką, prozaiczką, profesorem PAN, autorką świeżo wydanej, jednotomowej *Historii literatury polskiej*, autorką trzech biografii: *Jean Paul Sartre i Simone de Beauvoir*; *Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, czyli Lilka Kossak: biografia poetki*; *Wolny agent Umeda i druga Japonia*.

Chciałabym zacząć od tezy, że otoczenie może nas albo inspirować, albo hamować, a pisarz jest zawsze w bardzo intensywnym dialogu z tym, co go otacza. Nie chciałabym narzekać. Mnóstwo dziwnych rzeczy przychodziłoby do głowy w pierwszym momencie, boły niewykorzystane szanse, bo mogłoby być lepiej. My jesteśmy ludźmi pasji i jeśli mogłoby być lepiej, to nas to bardzo dotyka. Ale kiedy patrzę na 30 lat, jakie minęły od 1989 roku, to okazuje się, że był to okres bardzo pracowity, w którym ja samą siebie trochę zadziwiłam. Odpowiadałam na wiele zewnętrznych impulsów, które przerażały się w coś wartościowego. Takim bodźcem jest na przykład zamówienie na książkę, a te zamówienia przychodziły. Nawet nie wprost zamówienia, tylko właśnie impulsy „o tym trzeba napisać”. Traktowałam to bardzo poważnie. Było to 30 gorączkowych lat, które z poetki, którą byłam początkowo (bo debiutowałam w 1977 roku jako poetka), potem krytyka literackiego i osoby w latach 80. mocno zaangażowanej w ruch podziemny, solidarnościowy, zrobiły po 1989 roku pisarkę, badaczkę i jeszcze prezeskę na dodatek, a to ostatnie jednak jest stanem przejściowym, i z tego wyrosnę w pewnym momencie. Chciałabym więc zapytać o wasz osobisty bilans, widok z lotu ptaka, i wasze refleksje na temat tej relacji. Spotkaliście się z otoczeniem stymulującym czy też hamującym?

Anna Piwkowska: Dla mnie te 30 lat było latami niezwykle stymulującymi właściwie pod każdym względem. Wydałam wiele tomików poetyckich, bo tak jak Ania zaczynałam jako poetka, ale później różne bodźce przychodzące z zewnątrz spowodowały, że wydałam jeszcze trzy książki – jedną o mojej ukochanej rosyjskiej poetce Annie Achmatowej, dzięki której zaczęłam pisać wiersze. Tutaj bodźcem okazał się impuls z zewnątrz, którego chyba nie było przed 1989 rokiem ani jeszcze w latach 90., kiedy wydawnictwa i świat literacki znalazły się w momencie przejściowym. Tym impulsem stały się zamówienia na książki od konkretnych wydawców, umowy, które można było podpisać. Dzięki nim pojawiał się czas, który można było przeznaczyć na pisanie. Dostałam propozycję wydania książki o Annie Achmatowej, potem podpisałam z Wydawnictwem Iskry umowę na książkę o Marinie Cwietajewej, co też było moim marzeniem, ale chyba bym tego nie zrobiła, gdyby nie to właśnie konkretne zamówienie. Po 2000 roku rynek zwrócił się bardziej ku pisarzowi. Teraz wydaję kolejne tomiki poetyckie w Wydawnictwie Znak, które jest wydawnictwem bardzo stabilnym. Myślę, że Ania [Janko] to samo powie o Wydawnictwie Literackim. To jest przyjemne dla poety, że może wydać swoje wiersze w dobrym wydawnictwie. Bywa też tak, że bardzo często do wielkich nagród,

jak nagroda Nike, Gdynia czy Silesius, nominowane są debiutancie tomiki wydane w bardzo małych oficynach. Myślę, że otwartość jest tu bardzo duża, że nie ma podziału na jakieś świąty czy salony. Teraz piszę trzecią książkę o Beacie Obertyńskiej, mało znanej poetce emigracyjnej, która nie publikowała w Polsce, ponieważ tego nie chciała. Dostała się do rosyjskiego łagru w czasie II wojny światowej, przeszła przez niego i napisała wspomnienia *W domu niewoli*, opowieść kobiety, poetki, która została na emigracji w Londynie. Były to pierwsze wspomnienia łagrowe wydane jeszcze przed wspomnieniami Czapskiego *Na nieludzkiej ziemi* i *Innym światem* Herlinga-Grudzińskiego. Warto teraz przypomnieć zarówno jej postać, jak i jej wiersze. Te 30 lat było z jednej strony szalenie stymulujące. Przyniosłam dziś ze sobą dwa kwartalniki – papierowe, co tu bardzo podkreślam. To istniejący jeszcze kwartalnik społeczno-literacki „Więź”, w którym debiutowałam swoimi wierszami i któremu do tej pory jestem wierna, bo publikuję w nim swoje utwory. Drugim czasopismem są „Zeszyty Literackie”, które już od roku nie istnieją. Tu pojawia się pewnie ta ciemna strona przemian, jednak nie chciałabym tego oceniać. Myślę, że to, co się dzieje, nie jest ani dobre, ani złe, że po prostu musi takie być, ponieważ zmienia się świat, ale może myślicie inaczej. Bardzo by mnie to ucieszyło, bo pomyślałam sobie właśnie dzisiaj, jadąc tutaj, że „Zeszyty Literackie” były takim miejscem, w którym publikowałam swoje wiersze właściwie od 15 lat w każdym numerze. Było to moje miejsce, moje środowisko i nagle ono przestało istnieć. „Zeszyty Literackie” powstały na emigracji w Paryżu. Ania [Nasiłowska] coś o tym wie – uczestniczyła przy tworzeniu pierwszych numerów, pracowała razem z Barbarą Toruńczyk.

Anna Nasiłowska: No nie, ja się u niej po prostu zjawiłam, a ona zaprzęła mnie do korekty. Z entuzjazmem poddałam się temu, bo to było bardzo ciekawe doświadczenie... to wszystko powstało w malutkim, jednopokojowym mieszkanku w szemranej dzielnicy.

Anna Piwkowska: To było zjawisko niezwykle, to środowisko, które wytworzyło się wokół „Zeszytów Literackich”. Najpierw skupiły się tam osobowości tak wielkie, jak rosyjski poeta, noblista Josif Brodski, jak litewski poeta Tomasz Venclowa, jak właśnie Herling-Grudziński czy Józef Czapski. Poza Venclową oni wszyscy już nie żyją. W pewnym momencie zabrakło pieniędzy na wydawanie „Zeszytów Literackich”, przenieśli się one do Internetu, występują tam jako miesięcznik czy dwutygodnik „Palimpsest” i, prawdę mówiąc, byłam w grupie osób, które namawiały Barbarę Toruńczyk, żeby uruchomiła te „Zeszyty Literackie” w Internecie, choć nie brakowało też osób twierdzących, że nie powinno się tego robić, że powinno się zamknąć „Zeszyty”, tak jak Jerzy Giedroyc zamknął paryską „Kulturę”, że jest to okres skończony i nie należy tego przeciągać. Trzeba zdigitalizować wszystko, co zostało – a jest to wielkie archiwum wspaniałej literatury polskiej – i nie należy tego rozmieniać i publikować w Internecie. Czytam w Internecie takie pisma literackie, jak „Dwutygodnik”, cieszę się też, że jest takie miejsce jak „Palimpsest”, gdzie jeszcze ciągle publikuje się wiersze w sieci, ale jest mi strasznie żal, że nie ma już tych papierowych „Zeszytów Literackich”. Kapuściński kiedyś powiedział, że on zawsze pisze ołówkiem, ponieważ przebieg myśli między mózgiem a ołówkiem jest zupełnie inny

niż przebieg myśli między impulsem w mózgu a klawiaturą komputera. Z tego powodu – jak twierdził – zawsze pisał ołówkiem, a potem dopiero na komputerze. Mnie się wydaje, że inaczej czytam wiersze, eseje, że mogę poświęcić więcej czasu i że mam więcej refleksji, kiedy biorę do ręki właśnie taki kwartalnik papierowy. Cieszę się, że jeszcze nie upadła „Więź”, chociaż też być może upadnie, ponieważ ma kłopoty. To jest ta ciemna strona tych 30 lat. Przyniosłam ze sobą ostatni numer „Więzi”, ponieważ jest w nim niezwykle ciekawy wywiad dotyczący tematu naszej rozmowy. Rozmawiają trzy osoby, mianowicie poeci różnych pokoleń – Bohdan Zadura (75 lat) i dwoje młodych poetów, Barbara Klicka i Jan Rojewski. W tym wywiadzie znajduje się odpowiedź na moje wątpliwości – czy komukolwiek jest dzisiaj potrzebna poezja? Ja wiem, że będę pisać wiersze, ponieważ pisanie to dla mnie niezbędny sposób komunikowania się ze sobą, może i ze światem, ale mam pewne poczucie zamknięcia, może w takiej właśnie wieży z kości słoniowej, jaką były „Zeszyty Literackie”, bo nie wiem, czy te wiersze, które ukazują się w nakładach tysiąca egzemplarzy, rzeczywiście są czytane i komukolwiek potrzebne. Młody poeta Jan Rojewski wypowiadający się w „Więzi” powiedział: „ależ tak, poezja jest niezbędna, bo tylko poezja potrafi nazwać niewyraźne”, i dodał, że kiedy w nie tak odległej przeszłości, w 2001 roku, zdarzyła się straszna tragedia (atak na World Trade Center, upadły dwie wieże), wtedy „New York Times” na drugi dzień opublikował wiersz Adama Zagajewskiego o katastrofie, o tym, czym jest katastrofa. Okazało się to szalenie potrzebne, bo tylko poezja w takich momentach może coś opowiedzieć, coś nazwać. Drugim przykładem jest poemat Bohdana Zadury opublikowany w „Gazecie Wyborczej” w 2014 roku po wydarzeniach na Majdanie. Ten poemat nosił tytuł „Hotel Ukraina” i był jakby wylczeniem – przypomnieniem jego przyjaciół, poetów ukraińskich, ale też przyjaciół, którzy poszli na wojnę i o których on niezwykle się niepokoił. Zatem z jednej strony obserwujemy niezwykle rozwój cywilizacyjny – mamy paszporty; to, że mogę podróżować, bardzo mnie cieszy – z drugiej strony to, że przenosimy się do sieci, chyba trochę mnie martwi, ponieważ wydaje mi się, że odbiór poezji staje się inny, ale być może tak musi być. 17 lat uczyłam języka polskiego w zespole szkół Bednarska, młodzi ludzie robią wspaniałe rzeczy, posługując się tymi nowymi technologiami. Nie wiem, jaka będzie wasza refleksja, ja mam bardzo mieszane uczucia.

Anna Janko: Co do nowych technologii – one są zbawienne i bardzo zmieniają sposób funkcjonowania autorów nowych pokoleń. Jestem za nie niezwykle wdzięczna. Też pisałam swoją pierwszą powieść ołówkiem z gumką, ale w połowie zamieniłam go na laptopa. Stopniowo, pisząc już wprost na ekran, byłam w stanie obserwować, jak zmienia się działanie mojego mózgu. I teraz nie mogę już pisać na kartce papieru z dobrym skutkiem, ponieważ mój mózg jakby przeskakuje tamten etap procesu twórczego. Formułowanie zdań i myśli w sposób poprawny idzie mi skutecznie wyłącznie na ekranie. Niestety, mam zmysły „starej generacji”, niedostosowane do nowych technologii, wzrok mi się wytraca i pisanie na ekranie tak czy owak dla mnie się skończy. Zniknięcie tego jednego etapu, pisanie ręcznego, „na brudno”, z poprawkami, kiedyś przecież oczywiste, niezwykle przyspieszyło pracę umysłu, i to jest fantastyczne.

Nowe pokolenia będą miały, już mają, inną mentalność w kwestii pracy z ekranem, który jest dla nich jakby wyzewnątrznionym mózgiem. My jesteśmy pokoleniem przegubowym... To wszystko mówię tylko na marginesie owego pisania ołówkiem, które było oczywiście kiedyś cudowne i romantyczne, ale teraz stało się anachroniczne. Chciałabym jednak skupić się na czymś innym, ogarnąć ów świat książki z lotu ptaka. W ciągu tych 30 lat miałam okazję przyglądać się zmianom z różnych stron: jako autorka, jako pracowniczka wydawnictw i jako współorganizatorka życia literackiego. Osobisty autorski punkt widzenia konfrontowałam z interesem rynku wydawniczego, a także grupy twórców, czyli SPP. W 1989 roku, gdy Stowarzyszenie powstawało, miałam za sobą (zadebiutowałam książką w 1977 roku) paręnaście lat uczestnictwa w życiu literackim. W latach 90. zaczęłam pracować we wrocławskim wydawnictwie jako kierownik redakcji, czyli patrzyłam na proces powstawania książki także od przeciwnej strony, zyskałam szersze spektrum tej dość skomplikowanej relacji wydawca – autor – rynek – czytelnik. Potem, już w Warszawie, byłam w wydawnictwie Prószyński redaktorką od poezji i, sama będąc poetką, musiałam decydować o wydawaniu innych poetów, bywało to bardzo niekomfortowe. Ale praca w tych dwóch wydawnictwach bardzo wiele mnie nauczyła, wiem, jak to działa, jak różne są punkty widzenia na tę jedną rzecz, jaką jest książka.

Trzecim moim torem myślenia o książce i autorach w nowych rynkowych warunkach jest, raczej był, ten społeczny. Bo przez prawie 20 lat swojej aktywności towarzyskiej w środowisku sporo się „naprezesowałam”. Przeprowadzałam się często z miasta do miasta, zawsze byłam osobą energiczną i lubiłam być wśród swoich braci i sióstr po piórze. To strasznie potrzebne autorom – być wśród takich samych wysoko wrażliwych ludzi (dzisiaj nie mówi się już „nadwrażliwi”, ale wysoko wrażliwi – taki nowy termin znalazłam). Bycie razem (po godzinach samotnej pracy) daje poczucie bezpieczeństwa pisarzom, poetom, którzy przecież czują się zawsze troszeczkę inni. Moje liczne przeprowadzki zmuszały mnie do „zaczynania od nowa” w nowym miejscu, wśród nowych ludzi, w kolejnych oddziałach SPP. Byłam członkiem założycielem SPP w 1989, ale wcześniej jeszcze, w latach 70., przyjeżdżałam do Warszawy, do Domu Literatury, jako młoda autorka pisząca pracę magisterską o Annie Kamieńskiej; chodziłam na spotkania literackie i siedziałam w naszej bibliotece na ostatnim piętrze, przeglądając teczki legendarnych pisarzy... Jednak to Wrocław był pierwszym miejscem mojej społecznej, literackiej aktywności. Jako trzydziestoparolatka zostałam prezeską oddziału. Historycznoliterackim już dziś wspomnieniem jest fakt, że przyjmowałam Olę Tokarczuk do SPP. Była wtedy początkującą autorką po pierwszych tomikach, a ja, tylko parę lat starsza, byłam prezeską... Nie znałyśmy się osobiście i kiedy to nastąpiło przypadkowo na ulicy, to Olga palnęła coś takiego – myślałam, że jesteś stara! Taka anegdotka... Rzeczywiście, obracałam się w literackim światku na tyle długo (bo jeszcze w czasach dawnego ZLP), że powinnam była mieć swoje lata!

Anna Piwkowska: Ania debiutowała, mając 16 lat.

Anna Janko: Tak, rzeczywiście, ale jak wiadomo czas debiutu nie ma większego znaczenia, bo znaczenie mają talent i jego konsekwencje. No i teraz ode mnie dużo

starsza rangą jest Olga Tokarczuk. Wróćmy jednak do poprzedniego wątku. Ciekawe jest patrzeć na to, jak zmieniał się rynek książki i jak ewoluowały nastroje, przede wszystkim autorów i wydawców, ich wzajemne stosunki w ciągu tych 30 lat. Z Wrocławia pamiętam potężny entuzjazm. Pracując w Wydawnictwie Dolnośląskim, obserwowałam proces powstawania rozmaitych świetnych tytułów. Mnóstwo tłumaczeń z angielskiego i francuskiego; wydawca kupował atrakcyjne serie zagraniczne, od kryminałów po książki wiedzoznawcze z różnych dziedzin. Wydawaliśmy Różewicza i Herberta, także autorów młodych, np. Janusza Rudnickiego. Wszystko się robiło szybko, strasznie to było gorące. Nieraz w weekend, całodobowo, redagowałam coś „na cito”, przy kuchennym stole... Z jednej strony komuna miała nadal wiele wydawnictw, trwały jeszcze przemiany własnościowe, co pamiętamy, przynajmniej ci starsi z nas. Wiadomo, nieraz „nomenklatura” przechwytywała ten majątek i prywatyzowała. Jakoś wszyscy chcieli wydawać książki, książki były opłacalne. I czuło się ten entuzjazm i szybkość działania. Pamiętamy, że w komunie na wydanie czekało się latami, autor nieraz zdążył się postarzyć i debiutował już jako człowiek o siwiejących skroniach, młodych debiutantów było jak na lekarstwo, od razu się nimi interesowano. A gdy się trafiła jakaś młoda poetka, to prawie gwarancja sukcesu! Zdjęcia w „wiodących pismach”... A potem, w latach 90., wszystko gwałtownie przyspieszyło. To naprawdę była wiosna, myśmy wszyscy mieli potężną nadzieję. Z taką nadzieją organizowało się międzynarodowe imprezy literackie, we Wrocławiu polsko-niemieckie. Wierzyliśmy strasznie w misję SPP. Ja dlatego tak chętnie garnęłam się do tej roboty, będąc w zarządach (zanim zostałam prezeską, pełniłam inne funkcje w zarządach, zasiadałam także w komisjach kwalifikacyjnych). Byłam w komisji razem z Piotrem Matywieckim, przyjmowaliśmy do stowarzyszenia mnóstwo nowych autorów, bardzo zdolnych. To się już skończyło, nie ma już tak wielu chętnych jak kiedyś. Młodzi pisarze wcale się nie garną, zakładają własne unie literackie...

Piotr Matywiecki: Garną się, Aniu, garną.

Anna Janko: Garną? Może teraz coś się znowu zmienia... Później w mojej biografii była już Warszawa, nadal jeszcze odczuwałam wielki entuzjazm pisarskiej wspólnoty, wtedy stałe byłam w Domu Literatury, pełniąc funkcje, sekretarując. Później chwilowo Gdańsk, planowałam tam osiąść na stałe, 2005 rok. Studiowałam tam w latach 70., więc pamiętałam czasy bardzo intensywnego młodoliterackiego ruchu. Nowa Prywatność, kwiat młodzieży piszącej. Wszyscy byli fantastycznymi autorami. Zostali profesora-mi, wydawcami, urzędnikami związanymi z kulturą miasta, ale nie przestali być twórcami. Niektórzy wyrosli wysoko ponad innych, Paweł Huelle, Stefan Chwin. Po powrocie tam znowu dałam się wybrać w głosowaniu i śmiałam się, że jestem obrotową prezeską – gdzie nie pojadę, tam przez chwilę prezesuję. Jednak czułam, że napięcie opada, może nie we mnie, bo bardzo się starałam, współorganizowałam ciekawe imprezy, spotkania z pisarzami z różnych stron kraju, ale wszystko zaczynało tracić blask. Ludzie mieli mnóstwo innych atrakcji, nadchodziły zmiany, rzecz można, strukturalne w kulturze, zmieniały się potrzeby i cele, i nie mam tu na myśli publiczności jedynie. Komerccjalizacja, „medializacja”, „utowarowienie” książki... Teraz jestem już tylko autorką i przyglądam się

temu, co się dzieje z rynkiem, zaczynam coraz mocniej widzieć jego ciemną stronę. Najbardziej mnie martwi coś, co jest moim zdaniem niszczeniem książki, to znaczy owo „utowarowienie” i ten sprzedażowy nadrzędny cel w działaniach wydawniczych. Poezja i proza językowo zaawansowana, tzw. literatura piękna, one powinny pozostać elitarne. Natomiast często wydawcy chcieliby z każdej książki zrobić rzecz, która przede wszystkim będzie się świetnie sprzedawała. Dlatego w informacji na okładce w jakimś zabójczym (dla książki) niekontrolowanym odruchu z literatury zaawansowanej artystycznie robi się czytało... Potem powtarzają to chętnie czasopisma, nawet takie jak „Gazeta Wyborcza”, piórem recenzentów potrafią wyprasować książkę niczym żelazkiem, żeby była dwuwymiarowa. O jednej z moich książek, która jest rodzajem fabularyzowanego eseju o namiętności, napisano, że jest taką historią o tym, jak kobieta porzuca męża, rodzinę i idzie do kochanka. I tyle. Trójkąt romansowy. No niestety, tu nie wymienię nazwiska recenzenta, bo jest znane.

Myszę, że trzeba, jeśli tylko to możliwe, coś z tym zrobić, żeby nie trywializować literatury, która chce być literaturą wysoką.

Myszę, że to dobry moment, że akurat panu teraz oddaję głos, bo właśnie pan nie jest autorem czytań. Jak w ostatnich latach wygląda sytuacja w wypadku literatury elitarniej, która jest jeszcze przed wielkimi nagrodami? Piotr Matywiecki zdążył już dostać najważniejsze nagrody za literaturę elitarną, jest seniorem, jego książki są znane wszędzie, są w bibliotekach. Wielkie nagrody torują oczywiście drogę autorowi trudnej poezji czy prozy.

Krzysztof Bielecki: Chyba rozumiem, dlaczego Ania Nasiłowska poprosiła też mnie o głos w dyskusji. Ponieważ chodzę nieco innymi drogami. Nie ma we mnie tak wielkiego zaangażowania w rynek księgarski i we wszystko, o czym mówiły przedmówczynie. Debiutowałem w wieku 12 lat książką *Z życia Indian*. Była wydana w nakładzie jednego egzemplarza. Lokatorka mojego domu rodzinnego w zagubionym miasteczku Kutno bardzo ją skrytykowała. Książka miała tylko 24 strony i nie zawierała żadnego opisu przyrody. Lokatorka powiedziała: „Krzysiu, nie może być książki bez opisu przyrody”. Po tej krytyce poddałem się na kilka lat. Dopiero, kiedy przyszedł czas pisma literackiego „Razem młodzi przyjaciele” w liceum ogólnokształcącym w tym samym mieście i zostałem tam najpierw redaktorem, później redaktorem naczelnym, napisałem krótkie opowiadanie pod tytułem *Drzewo*. Zrozumiałem, że opis przyrody jest jakby *sine qua non* tego wszystkiego. Miałem wtedy mniej więcej 16–17 lat, a potem, kiedy byłem 19- czy 20-latką udało mi się zadebiutować w „Nowym Wyrazie” opowiadaniem pod znanym tytułem *Dyrdymaty i marginalia*. To niby pokazywało mój stosunek do literatury i życia, bo nie zdawałem sobie sprawy z tego, co jest w życiu każdego piszącego (nie mówię górnolotnie) istotne – to było dojrzewanie.

Wspominałaś, Aniu, o zapowiedzi dzisiejszego spotkania na Facebooku. Wstałem dziś z samego rana i pomyślałem: „Boże, muszę coś napisać o tym spotkaniu, ono jest bardzo godne, cieszę, że będę obecny w tak szacownym gronie”, a potem napisałem, bardzo ogólnie: „Czytacie książki? Skończyliście 18 lat? To koniecznie przychodźcie

do OKO na 11.00 na dyskusję o dojrzewaniu”, dojrzewaniu w wolnej Polsce z wolną literaturą, która absolutnie nie może być wolna. Czuję się absolutnie zniewolony i uziemiony. Otoczenie, o którym mówiłaś, to oddziaływanie czegokolwiek. W myśleniu o tym, poszedłbym dalej i zapytał, „jak się otacza”. To „się” jest takie Stachurowskie. Jak można się otoczyć? Można otoczyć się tak, jak jest w *Nożu*, można otoczyć się żdźbłem trawy, ale można też otaczać się całą rzeczywistością, która zwala się na nas w sposób dramatyczny i okrutny, a my najczęściej stajemy wobec niej bezradni. Jesteśmy słabi, a ja kultuwuję tę słabość od wielu, wielu lat. Jak zachować się wobec wszystkiego, co działo się w stanie wojennym, co pierwszy raz mnie w jakiś sposób złamało, złamało w takim sensie, że sprawiło, że poczułem się bezradny, zagubiony, niewinny w swojej bezradności, niewalczący, nierzucający kamieniami? Co z tym zrobić? Nie miałem nawet szans rzucić kamieniem w cokolwiek, bo ja nie byłem wtedy w Warszawie, tylko w Łodzi. Tam, owszem, brałem udział w strajkach, nawet w takich najślynniejszych, ale nie było mnie stać na zwyczajny heroizm, więc najpierw napisałem dwie książki, *Fistaszek* i *Nie ma czarów, nie ma aniołów*. Dostałem za nie kilka nagród literackich, natomiast w 1992 roku za sprawą PIW-u i „Akapitu” powstała taka zielona seria z opaską „Książka dla koneserów”, a w niej moja powieść *End and Fin Company*. To mi się strasznie spodobało, że będą czytać koneserzy, a nie wszyscy. To znakomicie, to już jest coś! Później Janusz Drzewucki, czytając ją, stwierdził, że dla niego, mimo iż ten Bielecki nie pisze ani słowem o stanie wojennym, to jest to o stanie wojennym. No dobrze, później przysłyły te lata, o których pięknie mówiły Ania Piwkowska i Ania Janko, to oszołomienie, to oślnienie, te iluminacje wyłaniające się każdego dnia od rana do wieczora.

Nowe książki, nowi pisarze, nowe nazwiska, o których nie mieliśmy pojęcia (mój Boże): jakiś Andrzej Stasiuk, Olga Tokarczuk, kto to jest w ogóle? To my jesteśmy najlepsi, nie ci nowi ludzie, jakiś „bruLion”, „Lampa i Iskra Boża”, co to w ogóle jest?! Przecież najważniejsza jest „Twórczość”, moja ukochana, święta „Twórczość”. Kto się waży podnieść na nią rękę?

Anna Nasiłowska: Tak, najstarsze polskie pismo literackie wychodzące od 1945 roku, które wciąż jest wydawane. Teraz redaktorem naczelnym jest wspomniany już Bohdan Żadura, wybitny poeta, prozaik i tłumacz między innymi z języka ukraińskiego.

Krzysztof Bielecki: Ale wiesz, jest jeszcze w tym wszystkim coś w rodzaju współzawodnictwa, konfrontacji. Kto śmie podnieść rękę na „Twórczość”, kto śmie podnieść rękę na „Życie Literackie”, które pisało o jakimś Bieleckim, czy na „Kulturę” albo „Literaturę”? Pamiętacie te tytuły.

Ania Nasiłowska: „Literatura” najpierw była tygodnikiem, drukowałam tam, w miesięczniku już nie.

Krzysztof Bielecki: „Literatura” później została miesięcznikiem. Nastąpiło takie przeistoczenie. Było też takie krakowskie „Pismo”, powstało za czasów „Solidarności”. Przychodzą młode wilki, wcale nie takie młode, bo ludzie byli często starsi od nas, choć jakby inny strumień życia ich przyniósł do tego świata, i nagle znów poczułem się w jakiś sposób uziemiony. O latach 90. napisałem trochę w książce *Gagatek a sprawa polska*.

Później w *Przepaści* zajęłem się tym wszystkim, co się działo w okolicach roku 2010, ale to wciąż nie były rzeczy jaskrawo polityczne albo jaskrawo społeczne (bo ja taki nie jestem, mówię od początku do końca). Wydaje mi się, że nawet najlepszego piszącego nie stać na jedno- albo dwutorowość. Idąc za Olgą Tokarczuk, trzeba mówić o biegunowości, a raczej o wielobiegunowości, wielu światach naraz, jakimś rodzaju synchronii, rodzaju niepokoju, który wyłania się z więcej niż jednej treści. Anna Janko pięknie o tym mówiła przed momentem. Nie można rzeczy wielowarstwowej sprowadzić do trójkąta – to zbrodnia na tym, co robi i czym żyje Anna Janko. Ale taka rzeczywistość (kiedyś mówiło się o niej „skrzecząca”) odzywa się: „Nie, Anno Janko, my musimy napisać w taki sposób, bo my musimy tyle i tyle egzemplarzy sprzedać, dziewczyno, więc ty się na to nie obrażaj, nie obrażaj się na rzeczywistość. Jak pisarz, który nie żyje od początku do końca w rzeczywistości, może się na nią obrażać? Dlaczego jest tak bezczelny, że prosi, aby to nie było o trójkącie małżeńskim, skoro rzeczywistość prosi, żeby było?”. Wiecie, to są te wszystkie przewrotności, które dzieją się w tym wszystkim, co się toczy wokół literatury, muzyki współczesnej. Ja o tym lubię mówić, odnosić się do tego czy do zwariowanego malarstwa współczesnego jak to tworzone przez Romana Opatkę czy przez odkrywanoego teraz Wojciecha Fangora.

To wszystko się dzieje i aż się prosi, żeby literatura była, owszem, z jednej strony popularna, ale my zasiadający tu przy stole, żebyśmy byli od początku do końca elitarni, żeby istniał jakiś rodzaj snobizmu, żeby było coś takiego: „Wiecie co, ja przeczytałem tomik Anny Piwkowskiej, rozumiem, o co jej chodzi, bardzo mnie to dotknęło, wszystko rozumiem, książkę pana Piotra Matywieckiego też przeczytałem, dotknęło mnie, Bieleckiego przeczytałem, dotknęło mnie”. Potrzebny jest rodzaj takiego wywyższenia i do tego chyba byłoby potrzebne SPP, żebyśmy tworzyli jakiś klub i nie przerażali się, że jesteśmy Robinsonami Crusoe na bezludnej wyspie, bo to nie jest prawda. Istnieją jeszcze ludzie, którzy czytają ogromne ilości książek, przeżywają je, dotyka ich to, przejmują się tym i tworzą coś, co jest rodzajem (nie ma takiego słowa) wybraństwa. Byłoby dobrze, żebyśmy w tej nowej epoce, którą troszeczkę jesteśmy tu – jak Ania Piwkowska powiedziała – przerażeni, znaleźli swój czas na takie wybraństwo, swoje miejsce, swoją opokę, swoją redutę, żebyśmy w nich byli i umiejętnie się bronili. Nawet nie poprzestawali na tym, że się bronimy, tylko zaatakowali jeszcze, byli w pewnym sensie agresywni.

Anna Janko: Sztuka nie ma być demokratyczna.

Krzysztof Bielecki: Tak, tak, sztuka musi być dyktatorska, absolutnie, niech żyje dyktatura.

Piotr Matywiecki: Proszę państwa, zacznę od pewnego doświadczenia z całkowicie zamierzcztych PRL-owskich czasów. Czytałem wtedy powieści znakomitego poety Adama Ważyka, o wiele mniej znanego jako prozaika. Obie jego powieści dzieją się w czasach międzywojennych. Znalazłem tam myśl, która zresztą przyświecała Ważykowi w jego poezji, a mianowicie, że codziennie, szczególnie w wielkim mieście, zmienia się wrażliwość. Zmienia się, jak on to nazywał, kolor czasu. A my wszyscy już często o tym zapominaliśmy, żyliśmy w tamtych smutnych PRL-owskich czasach w poczuciu nie tylko

ustrojowej, wolnościowej czy też antywolnościowej stagnacji, lecz także w pewnego rodzaju stagnacji wrażliwości. To wielkie miasto zwane Warszawą, z którym ja jestem zrosnięty od urodzenia, prawie się nie zmieniło. Patrzyło się na młodych ludzi na ulicach, potem patrzyło się na nich, już innych młodych ludzi po 10 latach – zachowywali się bardzo podobnie, mówili bardzo podobnie i odczułem wtedy rodzaj ogromnej zazdrości: „Boże, temu Ważykowi było dane życie w zupełnie innym, ciągle zmieniającym się świecie, szybko się zmieniającym i myślę, że po 1989 roku chyba wszyscy, każdy na swój sposób, tego doświadczyliśmy. Tego, że czas wzruszeń, czas elementarnych zdarzeń ruszył z kopyta. To było doświadczenie fenomenalne i to podchwycili wówczas przede wszystkim najmłodszy poeci, ale oczywiście także prozaicy. Wiązało się to z dwoma zjawiskami w poezji, która jest mi gatunkiem najbliższym i na której znam się o wiele lepiej niż na prozie. Z jednej strony pojawiła się cała masa niewiarygodnie zróżnicowanych osobowości poetyckich. W PRL-u – z wyjątkiem być może jednego momentu, wtedy, kiedy wkroczyła na scenę literacką Nowa Fala i może nade wszystko jeszcze jeden człowiek, mianowicie Rafał Wojaczek, który wywołał po prostu rewolucję w wyobraźni i wrażliwości; oprócz tego, w cudzysłowie zbawiennego, skądinąd, incydentu – miało się poczucie, przeproszam, że to powiem, że wszyscy pisali tak naprawdę na jedno kopyto. Kopyto było coraz nudniejsze, przez to jedni z nas, piszący wtedy wiersze, byli bardzo doskonali w pisaniu na to kopyto, a drudzy bardziej toporni, ale to „na jedno kopyto” było przerażające. Zaraz po 1989 roku, nawet niezależnie od tych grup, o których mówiliście – „bruLionu” i innych tego rodzaju zjawisk – pojawiła się masa zróżnicowanych indywidualności. Jeśli mam skoczyć nagle do czasu, w którym teraz żyjemy literacko, to muszę powiedzieć coś bardzo ponurego również z doświadczeń kogoś, kto cały czas pracuje w komisji kwalifikacyjnej SPP. Porobiło się tak, że znowu wszyscy piszą na jedno kopyto, niestety. Od dobrych paru lat. Na czym to jedno kopyto według mnie polega? Na pewnego rodzaju porwanej, chwilami nieomal zdruzgotanej składni zdań. Ale tu nie chodzi tylko o zjawisko czysto literackie, chodzi o to, że ci poeci pokazują tak samo poszarpany świat zewnętrzny i nie można (albo oni nie umieją, albo po prostu nie można) pokazać tego inaczej, jak właśnie postugując się tą poszarpaną składnią, ale ta szarpanina u każdego z nich jest wyrażana niemal identycznym stylem literackim.

Anna Janko: Nie ma ciągłości w tej chwili...

Piotr Matywiecki: Być może, choć ja nie jestem tego do końca pewny. Z tym wiąże się coś, co nazwałbym zanikiem pewnego rodzaju dyspozycji lirycznej, która zawsze, tak czy owak, preferowała tożsamość skupioną, czasami samotniczą, ale jednak skupioną. Wydaje się, że to jest dziś zjawisko rzadkie. Wśród obecnych tutaj poetek i jednego poety ten liryzm chyba nie zanikł, ale wydaje się, jakby powszechnie zanikał.

Jeszcze jedna rzecz, o której chciałbym coś powiedzieć odnośnie do ruchu wydawniczego. Wy macie co do tego jakieś lepsze ode mnie doświadczenie. Ja dobre doświadczenia z wydawcami mam dopiero od ostatnich dziesięciu lat. Pamiętam (nigdy tego nie zapomnę) takie zdanie pewnego bardzo starego już pisarza, który po osiemdziesiątym dziesiątym roku czy nawet w tym osiemdziesiątym dziesiątym roku rzecze do mnie tak:

„Panie Piotrze, ja pamiętam czasy przedwojenne. Teraz też będzie wolny rynek wydawniczy. Niech pan pamięta, każdy wydawca to złodziej. Chodzi tylko o to, żeby to był złodziej uczciwy”. Mnie się osobiście przydarzyło, że być może najważniejsza z pewnego punktu widzenia książka, jaką kiedykolwiek napisałem (taka o przeżywaniu getta warszawskiego), nie natrafiła na dobrego wydawcę. Książka miała około trzydziestu fundamentalnych omówień w prasie literackiej i codziennej, a wiecie, ile miała egzemplarzy i ile ich ma do dzisiaj? Czteryście. Czteryście, po prostu, czteryście. Ponieważ, jak to wtedy bywało, wydawca dostał ogromną dotację z jakiejś fundacji, a wydał tylko tyle egzemplarzy, żeby książka gdzieś tam się pojawiła, żeby można było rozesać ją do recenzentów i tak dalej. Oczywiście, to się potem na szczęście wyrównało. Rynek wydawniczy po prostu takie zjawiska wyeliminował. Bardzo szybko, ale to pierwsze wrażenie jako rodzaj szoku trwało we mnie dość długo. Ponieważ sam jestem pisarzem książek bardzo hermetycznych, by nie rzec ezoterycznych, to jakby nie mam się czego od wydawców specjalnie spodziewać i dlatego, jeżeli natrafiam na takiego wydawcę, jak w ostatnich moich latach Wydawnictwo Literackie w Krakowie, które chętnie wydaje moje teksty (w tej chwili będzie wydawało już szósty mój tomik wierszy), to się czuję, jakbym złapał Pana Boga za nogi.

Istnieje jeszcze jeden problem, który dziedziczymy również po stanie krytyki w okresie PRL-owskim. Mianowicie bardzo mnie denerwują pewne chwilowe mody krytycznoliterackie. Rozumiem to w następujący sposób. Otóż nie tylko krytyka literacka, lecz także nierzadko wybitni historycy i teoretycy literatury przyczepiają się w pewnym momencie do jednego nazwiska. Tak kilka lat temu było przykładowo z postacią niezwykle awangardowego wielkiego poety Tymoteusza Karpowicza. W ciągu jakichś pięciu lat ukazała się niezliczona ilość publikacji na jego temat i nagle, niczym na mocy postanowienia biura politycznego KC PZPR, sprawa się urwała. Kropka. Od pięciu lat nie ma ani jednego tekstu o Tymoteuszu Karpowiczu, a jak znam polskie życie literackie, następny będzie za dwadzieścia trzy lata. Znowu napłynie taka fala. Brak ciągłości w polskiej krytyce to była bolączka, na którą skarżono się już w czasach przedwojennych, ale to odbija się bardzo źle na ogólnej kulturze literackiej w Polsce.

Teraz kilka słów o sobie samym. Tak się złożyło, że ja przed osiemdziesiątym dziesiątym rokiem czułem się (i chyba byłem) pewnego rodzaju outsiderem literackim. Znałem wtedy bardzo mało osób ze środowiska literackiego. Moje książki, tak jak zawsze (poetyckie przede wszystkim), miały niszowe nakłady. Tak już po prostu było i tak sobie to trwało. Przez długie lata nie byłem człowiekiem o jakichś specjalnych zainteresowaniach społecznikowskich.

Anna Nasitowska: Piotr był wtedy bibliotekarzem w BUW-ie. W tym starym gmachu, któremu poświęcił książkę.

Piotr Matywiecki: Tak. Oczywiście, jak my wszyscy – ludzie przyzwoici, w tamtych latach podpisywałem (jak było trzeba) jakieś protesty w publicznych antypeerelewskich sprawach, ale nigdy nie angażowałem się całym sobą w, bardzo już wtedy silny, ruch opozycyjny. Zmieniłem się całkowicie, bo życie na Uniwersytecie Warszawskim mnie w pewnym momencie do takiej roli wypchnęło, we wręcz hunwejbina solidarnościowego.

To mnie zmieniło całkowicie. Stałem się po prostu człowiekiem do bólu uspołecznionym i oczywiście jako ten hunwejbini solidarnościowy czytałem te wszystkie nasze podziemne pisemka. Tam różni znajomi i nieznajomi pisali wspaniałe utwory opozycyjne. To sobie pomyślałem, że może i ja bym spróbował. Spróbowałem ze trzy razy i chyba nigdy w życiu tak nie zagrafomaniałem jak wtedy. W związku z tym doszedłem do wniosku, że to po prostu nie dla mnie. Skończył się stan wojenny. Nie było już komuny, nie było już z kim walczyć, a temperament społeczny we mnie pozostał i wtedy postanowiłem zaangażować się w społeczną pracę w Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich. Teraz już od paru lat mi przechodzi, bo się zestarzałem, ale to było dla mnie ogromnie ważne.

Wracam już teraz do mojego pisania. To doświadczenie bycia człowiekiem społecznym ukształtowało mnie jako osobowość. Druga rzecz: przez wiele lat pisałem tę książkę (właśnie, ona nie jest o getcie warszawskim, ale o przeżyciu – po latach – getta warszawskiego przez kogoś, kto tam został spłodzony) i te dwa doświadczenia, a szczególnie doświadczenie tej książki, zrobiło ze mnie nie tylko pisarza, lecz także człowieka. Pierwszy raz po tych dwóch doświadczeniach przestałem się czuć jak jakaś nieokreślona osobowościowo i literacko plazma. Zacząłem rozumieć, kim jestem, po co jestem i jaki jestem. Z tą książką o „getcie” było też tak (pamiętam to bardzo dobrze), że po jej napisaniu i wydaniu przysięgałem sam sobie, że już nigdy w życiu nie wolno mi niczego na ten temat napisać. Z prostego powodu – bo to nie jest coś, co się nadaje na temat literacki. Wykorzystywanie tego jako tematu literackiego uważałbym za uciążliwe temu, co się w tym strasznym miejscu stało. Oczywiście, okazało się, że to jest nie do zrobienia. Każdy tom wierszy od tamtego czasu zawiera jakieś dwa-trzy wiersze temu poświęcone. Widocznie już tak jakoś musi być. Myślę, że stałem się przez te wszystkie lata lirykiem w tym znaczeniu, że moim głównym tematem jest po prostu moja własna (ale pewna książka pokazała, że nie tylko moja własna) po prostu ludzka tożsamość. To brzmi bardzo ogólnikowo, ale dla mnie to coś rdzennego. Druga moja książka eseistyczna była o Julianie Tuwimie. Pewien mój przyjaciel literacki powiedział mi kiedyś coś, co mnie zafrapowało. Mianowicie powiedział: „Słuchaj, to jest książka o Tuwimie, ale tak naprawdę to jest książka o problemie tożsamości, ludzkiej tożsamości”. Myślę, że to jest chyba mój temat.

Anna Nasifowska: Widziałam, że wiele kwestii w trakcie dyskusji budziło odzew. Aniu, chciałaś coś dopowiedzieć.

Anna Piwkowska: Widziałas, że mam notatki.

Anna Nasifowska: Ja też robię notatki, bo niektóre stwierdzenia są tak cudowne, jak takie perełki, które będziemy obracać w głowie, a potem one zostaną z nami.

Anna Piwkowska: Tak, wszystko to, co powiedzieli Ania Janko, Krzysztof Bielecki i Piotr Matywiecki, jest mi bardzo bliskie, ale spojrzę, co zanotowałam.

Bardzo chciałam się odnieść do tego, co powiedzieli pan Krzysztof i Piotr o konieczności hierarchii i krytyce literackiej. Przywołam jeszcze raz kwartalnik „Więź” i „Zeszyty Literackie”. Przypomniało mi się, co powiedziała Barbara Toruńczyk, kiedy zarzucała „Zeszytom”, że cały czas publikują i obracają się wokół tych samych wielkich nazwisk. W „Zeszytach Literackich” ukazywały się wiersze Czesława Miłosza, które nigdy wcześniej

nie były publikowane. W momencie, kiedy pojawiał się nowy wiersz Czesława Miłosza, nic mnie nie obchodziło, że Miłosz jest poetą, który już nie żyje, poetą noblistą, niedziśniejszym. Dla mnie ten wiersz żył, to było właśnie to, z czym mogłam się skonfrontować. W tym sensie wielka poezja, wielka literatura jest wieczna.

Chciałam też powiedzieć o tym, o czym mówił Piotr, że teraz wszyscy piszą tak samo. W tym wywiadzie, o którym wspominałam, młoda poetka, Barbara Klicka, przypominała poetycki portal Nieszufłada, przez który przeszli wszyscy młodzi poeci. W Nieszufładzie działo się dużo ciekawych rzeczy. Pojawiali się nowi poeci, można się było spotkać, skonfrontować, dyskutować. W sieci wybuchały interesujące dyskusje i w pewnym momencie wszyscy zaczęli pisać podobnie, dzięki czemu wiadomo było, że wszyscy wyszli z Nieszufłady. Barbara Klicka stwierdziła, że bardzo jej brakuje hierarchii w życiu literackim i krytyki literackiej, która by powiedziała, co jest naprawdę dobre, a co nie. Powołała się też na „*Twórczość*”, czyli na papierowy miesięcznik literacki, mówiąc, że najpierw czytamy nie to, co jest w sieci, tylko sięgamy po „*Twórczość*”, żeby zobaczyć, kto tam publikuje. Bardzo mnie to ucieszyło, bo to znaczy, że to nie jest jednak tak, że nie ma żadnych hierarchii.

Chciałabym też powiedzieć o tym, co wydarzyło się w ostatnich latach. Pamiętam z czasów mojej młodości, że w Warszawie były księgarnie, a nad nimi umieszczone na stałe kolorowe neony, na których było napisane „Literatura piękna”. Pomyślałam sobie, że w tej chwili kompletnie znikło sformułowanie „literatura piękna”, ponieważ literatura stała się w jakimś sensie literaturą zaangażowaną społecznie. Powstaje bardzo dużo reportaży. Tu fantastyczny sukces odnosi wydawnictwo Czarne, które, jakby przeczuwając to, zaczęło wydawać wyłącznie reportaże (niezwykle ciekawe). Według mnie jest to jednak zupełnie inny rodzaj literatury niż właśnie literatura piękna. Gdy kiedyś wchodziłam do księgarni, na półce leżały *Anna Karenina* czy *Wojna i pokój* Tołstoja albo dzieła Dostojewskiego. Książki Schulza, Jerofiejewa czy Gombrowicza kupowałam w antykwiariatach albo w Gdańsku na Jarmarku Dominikańskim za jakieś ogromne sumy i wiozłam potem zatłoczonym pociągami bez miejscówek do Warszawy. Jednak rozumiałam, że literatura piękna jest ważna, ponieważ ona, tak jak chcieli Grecy, może wywołać w człowieku prawdziwe *katharsis*. Tylko ona mówi o rzeczach naprawdę uniwersalnych i wiecznych. W tej chwili mam wrażenie, że literatura staje się literaturą, która musi coś zatłwić, która musi być literaturą społeczną, która potrzebuje innego czytelnika. To samo dzieje się też w poezji.

Nie wiem, czy się ze mną zgodzicie. Bardzo byłabym ciekawa, co powiecie, ale zanim oddam wam głos, wspomnę jeszcze o jednej rzeczy. Ania mówiła o tej cudownej i trochę dwuznacznej szybkości. Dzięki nowym technologiom szybko możemy napisać książkę i szybko ją wydać. To jest samobójcze. Ta szybkość powoduje, że książka, gdy już się pojawia, w ogóle nie ma czasu zaistnieć. Natychmiast przykrywana jest przez drugą książkę i kolejne, fala przykrywa falę. Nie ma czasu na to, żeby o książce rozmawiać, żeby pisać omówienia krytycznoliterackie, ponieważ natychmiast przychodzi moda na nową książkę i na nowe nazwisko.

Tu, już na koniec, zanim oddam za chwilę głos Ani, chciałabym przytoczyć anegdotę z własnego życia. Kiedy w latach dziewięćdziesiątych mój mąż powiedział do mnie: „Zobacz, jakie to będzie cudowne, bo będziesz mogła po prostu pisać artykuł i nie będziesz musiała chodzić, zaniósć go, tylko po prostu wyślesz go mailem”, to ja sobie pomyślałam: „Nie, ja tak nie chcę. Ja chcę pójść z tym artykułem do wydawnictwa, redakcji, chcę usiąść z człowiekiem, napić się herbaty, chcę porozmawiać”. Od początku czułam, że ta szybkość nie jest czymś, co bym tak bardzo lubiła.

Anna Nasiłowska: Tak, kiedyś redakcje były rodzajem salonów. I to były tygłe nowych pomysłów!

Piotr Matywiecki: Bardzo mnie zainteresowałaś tym, co w praktyce w dawnych czasach nazywaliśmy literaturą piękną. W tym jest jeszcze coś innego. Mianowicie odczuwam od pewnego czasu, że tylko jedna grupa pisarzy jest przez Pana Boga poszkodowana w ten sposób, że czuje swoją pychę. Otóż nie ma w tej chwili bardziej pysznych w swoim powołaniu i dziedzinie pisarzy niż reporterzy. Reporter jest po prostu królem świata. Wystarczy czasami posłuchać w jakichś wywiadach reporterów, z jaką kpiną odnoszą się do tego wszystkiego, co nazywają fikcją literacką. Prawda? Co to w ogóle jest? Jakieś bajeczki. Zawsze wysuwają wtedy taki oto argument (rzekomo socjologiczny): wszyscy pragną tego życiowego mięcha, faktu. Nikt niczego innego nie chce czytać, tylko literaturę faktu. No dobrze, a jakby tak w życiu coś oprócz swoich książek przeczytali, to może by się dowiedzieli, że ludzie tak samo dzisiaj, jak przed trzystu, czterystu, pięciuset i siedmiuset laty, wciąż mają elementarny głód baśni. Jak się patrzy na dzisiejsze najlepsze filmy, to zauważcie, ile tam jest elementów fantastyki, która tak naprawdę okazuje się baśnią dla dorosłych. Skąd się wzięła światowa popularność Tolkiena? Czy Tolkien był reporterem? Nie odmawiam wielkim reporterom, takim, jak na przykład Ryszard Kapuściński, fenomenalnych zasług literackich, ale czy ktoś pisze i mówi o tym dzisiaj, że Ryszard Kapuściński był świętym poetą? Gdy spotykało się go w księgarni, to zawsze tylko przy półkach z poezją, bo jeszcze wtedy były półki z poezją. Teraz zdarza się to już bardzo rzadko.

Anna Janko: Ja też pociągnę ten temat, ale przy okazji przypomnę, że zanim pojawiły się moda czy wielkie zapotrzebowanie na *non fiction*, to przecież powstawały pisma takie jak „Nowa Fantastyka” i był wybuch miłości do literatury fantastycznej, którą nazywało się najpierw fantastyczno-naukową, za czasów Lema, potem pojawił się jej jakby trochę gorszy rodzaj, fantasy (mówię tylko o polskim rynku). Na nim wychowało się kolejne pokolenie czytelników. To były kompletne bajeczki, które nie zostały nawet zakorzenione w żadnej konkretnej mitologii, co dla mnie jest grzechem literatury numer jeden. Myślę, że odpowiedź na to przesycenie literaturą fantastyczną objawia się właśnie modą na *non fiction*. Jednak przy okazji rynkowi „decydenci” od kultury (dziś są to np. media) robią strasznie złą robotę, mieszając gatunki, podciąga się reportaż pod literaturę piękną na siłę i obdarowuje nagrodami jako dzieła sztuki literackiej. Przy nagrodzie Nike porównuje się subtelny tomik Julii Hartwig z czysto reporterską książką innego autora. A co ma ryba do roweru? Doskonały pomysł mieli od początku organizatorzy

Nagrody Literackiej Gdynia (zresztą mamy jej laureata tutaj między nami). Tam właśnie utrzymano podział na gatunki. Nigdy nie byłam do niej nominowana, ale kocham tę nagrodę za to, że traktuje ona poważnie autorów.

Co do mieszania w literaturze i złej roboty medialnej, to podam państwu jeszcze taki bardzo ważny dla mnie przykład, a mianowicie zawrotną karierę *Pięćdziesięciu twarzy Greya* na wszystkich poziomach dyskusji życia literackiego. Rozumiem, że polski wydawca, który jest również przedsiębiorcą, kupuje taki tytuł, który na świecie sprzedał się w milionach egzemplarzy. Dzięki temu za zarobione pieniądze wyda przecież inne, mniej dochodowe, ale ambitne książki, prawda? Tylko po co ludzie, którzy zajmują się zawodowo kulturą tzw. wysoką, dają się w to wkręcać? Pamiętacie, ile było dyskusji w telewizji, radiu, rozmaitych pismach? Ja też o tych *Pięćdziesięciu twarzach Greya* mówiłam. Z rozpaczą i łzami w oczach szłam do radia, żeby powtarzać: „Ludzie, nie mówmy o tym”. Ale to jest takie atrakcyjne medialnie: dyskutować, jak nisko upadła literatura, nakręcając tę spiralę powszechnego zainteresowania i mieszając w głowach w opiniotwórczym sensie. Doszło do tego, że ocytani i zaawansowani kulturalnie ludzie zaczęli w tej nieszczęsnej książce szukać dobrych stron! I to jest właśnie to. Zaczynamy o czymś mówić po raz setny, tysięczny i nagle zaczynamy to lubić. Bo lubi się to, co jest znane. Na tym polega ten znany mechanizm psychologiczny. Jeżeli więc książka jest podłej jakości, zróbmy wszystko, żeby się do tego nie mieszać, w obieg międzylumyślowy nie wrzucać. Rynek rynkiem, ale zachowajmy minimum przyzwoitości.

Krzysztof Bielecki: Ja powiem coś pięknego, wyjątkowego. Tego jeszcze nie słyszeliście, a propos tego, co mówiła Ania Piwkowska. Spieszmy się kochać książki, tak szybko odchodzą. Bardzo szybko.

Pani Anna Piwkowska dotknęła ważnej kwestii – spraw artystycznych. Pośpiechu, który, mówiąc kolokwialnie, jest złym doradcą we wszystkim. Pośpiech w wydawaniu jest upokarzającym wyższą sztukę wyścigiem. Książka przychodzi po książce. Kiedyś zadzwoniłem do pana Zdzisława Pietrasika, który miał o mnie bardzo dobre zdanie w latach osiemdziesiątych i na początku dziewięćdziesiątych, i powiedziałem do niego: „Panie Zdzisławie, może skrobnąłby pan jakieś słowo o *Gagatku*?”. A on odpowiedział: „Panie Krzysztofie, dobrze. Ja pana pamiętam, owszem. Wie pan, ile ja dostaję książek tygodniowo? Sto. Bardzo pana przepraszam, niech pan zadzwoni do Piotra Bratkowskiego. On patrzy na tę literaturę inaczej. Może znajdzie dla pana czas”. Sto książek, a to był rok 2005/2006. Teraz tych książek na biurku łąduje już dwieście. Mówię o tygodnikach opiniotwórczych, teraz rzeczywiście wpływowych. To jest primo.

Druga rzecz to przekłete zdanie Stephena Kinga (które jest bardzo przeciw nam), że nie ma nic ponad fakt. Najlepsza fikcja nigdy nie będzie wyżej stała od prawdziwej historii, do której ja, King, mogę się odnieść i tak dalej.

Fascynują mnie upadki. Jeżeli rozmawiamy o jakimś tam subtelnym, na razie niezauważalnym osuwaniu się człowieka, to mówimy o tym, o czym bardzo ładnie opowiadał pan Piotr Matywiecki. O świecie pewnego rodzaju wrażliwości i szansy na zamknięcie się, której nam rzeczywistość już niestety nie daje. A jeśli daje, to musielibyśmy wyjechać

nie wiadomo dokąd. Może do Kołobrzegu albo może do Świnoujścia – żartuję oczywiście. Nie mamy szansy, by znaleźć miejsce na irracjonalność i ją pokazać. W „Podglądzie”, takim kwartalniku, o którym Stowarzyszenie Pisarzy Polskich lubi mówić i się nim chwalić, jest bardzo ładny zwyczaj.

Anna Nasiłowska: Jest się czym chwalić. My to pismo wydajemy dzięki składkom członkowskim i dzięki pracy zarządu, w tym na przykład dzięki Piotrowi Müldner-Nieckowskiemu, który zaraz się tu pojawi i który osobiście składa to czasopismo na komputerze.

Krzysztof Bielecki: Na ostatnim spotkaniu promującym „Podgląd” rozmawialiśmy o *Królu olch* Goethego, inaczej tłumaczonym jako *Król elfów*. To jeden z najważniejszych wierszy w historii świata, pokazuje te dwie rzeczy. Ja zawsze upominam się o irracjonalność, o złudzenie, o wrażliwość, o miękkość człowieka, a reportaż choćby był najdoskonalszy, zawsze jest niestety twardy. Literatury pięknej będzie w nim siłą rzeczy mniej. To jest wyzwanie dla nas i dla piszących w kolejnych latach, byśmy w tym nowym świecie, być może oszalałym zupełnie i absolutnie uległym wobec chaosu, w świecie z tym poddającym się człowiekiem piszącym, komponującym, malującym, który poddaje się, bo chce znaleźć odbiorcę, umieli się ostać i umieli przekonywać z nieodpartą siłą i zapalem, że ten nasz świat jest coś wart, że ta nasza wyobraźnia, to pudełko zwane wyobraźnią (Herbert kiedyś o tym ładnie pisał), jest wciąż cenne. Nie poddawajmy się w ten sposób, żeby strząsano z nas tę wrażliwość, tę irracjonalność, te wszystkie słabości, te wszystkie nasze skraje, którymi my (czy poeci, czy prozaicy), którzy czegoś więcej szukamy, chodzimy.

Anna Janko: Powrót kryminału też jest w tej chwili bardzo na czasie, a to twarda literatura, prawda?

Piotr Matywiecki: Chcę poruszyć teraz temat, który płącze się po obrzeżach naszej dyskusji i mówić o tak zwanej przeklętej sprawie naszego czytelnictwa. Uprzejmie was przeproszam, ale mam dość anachroniczny zawód. Ja z zawodu jestem bibliotekarzem i tak się złożyło, że pisarze z naszego stowarzyszenia od dziesięciu lat czynili mi ten zaszczyt, że delegowali mnie do najważniejszego bibliotekarskiego, jak to się powiada, ciała, które się nazywa Krajowa Rada Biblioteczna. To jest doradczy organ przy panu ministrze kultury. Jak łatwo się domyśleć, duża część tych obrad koncentrowała się na problemie spadku czytelnictwa, na który od lat wskazują statystyki. A ja sobie w pewnym momencie pomyślałem o tym, że przecież są ludzie, którzy przeczytali w życiu bardzo niewiele książek, ale za to jak je przeczytali. Są ludzie, którzy bez przerwy czytają, na przykład w dawnych pokoleniach Sienkiewicza, w bliższych nam pokoleniach *Mistrza i Małgorzatę* Bułhakowa. Istnieją też tacy maniacy, jak ja – czytający Tolkiena. Taka bezinteresowna, ustawiczna lektura jednej, dwóch, trzech książek przez całe życie jest być może głębsza niż czyjeś odczytanie w mnóstwie książek pisanych przez fachowców od literatury. Choć wierzę, że są i tacy fachowcy, jak Anna Nasiłowska.

Anna Nasiłowska: Ale ja mam świadomość, że ten nadmiar to rodzaj gospodarki rabunkowej na moim umyśle. Ja się temu poddaję, ponieważ są zadania, które trzeba wykonać. Jestem jurorką Nagrody Literackiej „Nike”. To się skończy za rok.

Jestem również jurorką nagrody Angelus. Nike ma zasadniczą wadę, która jest wpisana w regulamin tej nagrody, że nie uwzględnia podziału na kategorie, ale co zrobić. Ktoś musi wykonać to zadanie. Wykonuje się je z pewną szkodą dla siebie, przepuszczając ten nadmiar przez własną wrażliwość. Nie wiem, jaką wrażliwość ma człowiek, któremu tygodniowo na biurku leżą sto książek. Nie potrafię sobie tego wyobrazić. Myślę, że on po jakimś czasie patrzy na prawo, na lewo, na prawo, na lewo i tu ma mały stosik wybranych, i tam ma wielki stos odrzuconych, do których zaledwie zajrzał.

Piotr Matywiecki: Aniu, ja kiedyś byłem jurorem w konkursie poetyckim. Jednym z takich, na które posyła się wiersze masowo. Przywieźli mi do domu wielką stertę wierszy. Słuchajcie, po jakichś trzech dniach czytania tych tekstów ja nagle zrozumiałem, że już nie odróżnię grafomana od Mickiewicza, po prostu. Koniec. Jedna, wielka, szara masa. To jest nieludzkie.

Jeszcze na koniec. Kiedyś dopadło mnie przerażające doświadczenie, pokazujące, na co się naraża ktoś, kto się zajmuje literaturą zawodowo. Tak jak wam dziś powiedziałem, byłem maniakiem czytania Tolkiena. Uwielbiałem Tolkiena i uwielbiam dalej. Kiedyś napisałem szkic o całej twórczości Tolkiena (jestem z tego szkicu bardzo dumny, choć jest on bardzo mało znany, bo powstał i został opublikowany jeszcze przed wielką karierą filmów według Tolkiena) i wiecie, co mi się stało? Przystałem móc go czytać. Po prostu, pojawił się jakiś rodzaj irracjonalnego odrzutu. Wymądrzyłem się, może nawet dobrze się wymądrzyłem, jak w swojej pysze sądzę, ale to mnie odcięło od tej książki i minęło już bardzo wiele lat, a ja dalej z ogromną nieśmiałością tego Tolkiena omijam. Może wreszcie zachoruję na ciężką grypę i na nowo zacznę go czytać.

Anna Nasiłowska: Atmosfera tej dyskusji jest taka, że my się zaperzamy coraz bardziej, bo to jest naprawdę sprawa naszego życia. Natomiast publiczności nam trochę ubywa.

Czy ktoś chciałby zadać jakieś pytanie? Myślę, że bardzo dobrze przedstawiłmy w trakcie tej dyskusji, czym są sprawy, które nas pasjonują, dlaczego to jest dla nas tak bardzo istotne i dlaczego jest tak bardzo skomplikowane. Czy ktoś chciałby zadać pytanie? Może być zupełnie banalne albo praktyczne: „Jak zadebiutować?”. Prosimy panią.

Gość: Czy stowarzyszenie zajmuje się też takim problemem, jak podnieść czytelnictwo? Mnie się wydaje, że jednym z głównych kłopotów jest dobór lektur w szkole. Jest tak beznadziejny, że może wyłącznie zniechęcić młodzież do czytania książek. Zresztą ktoś niedawno napisał, że na liście lektur szkolnych są tylko te książki, których nikt nie chce czytać.

Anna Nasiłowska: Dziękuję bardzo za to pytanie. Odpowiedź jest skomplikowana. Piotr Müldner-Nieckowski tutaj obecny prowadzi coś takiego jak Stajnia Literacka, która zachęca ludzi do pisania i prowadzi ich za rękę. Czytanie i pisanie są ze sobą związane, jak dwie strony medalu, i nie ma dobrego pisania bez czytania. Ja prowadzę kurs kreatywnego pisania przy IBL PAN (zresztą wykorzystując Maćka Cisłę, męża Ani Janko, i z pomocą naszych kolegów i koleżanek ze stowarzyszenia). W maju 2019 roku uczestniczyłam podczas Targów Książki w Krakowie w dyskusji „Samorząd wobec problemu

czytelnictwa”. Są samorządy w Polsce, które rzeczywiście aktywnie działają na tym polu, i była tam pani z Sopotu. Powiedziała, że w Sopocie rozwiązano problem małych księgarń, które były nierynkowe. U nich małe księgarnie mają prawo bytu, ponieważ nie są kwalifikowane jako sklep, tylko jako działalność kulturalna. Przecież księgarnia może prowadzić spotkania z twórcami czy dyskusje o książkach. Staje się w ten sposób placówką kultury. W Warszawie ciągle patrzymy, przejeżdżając Alejami Jerozolimskimi, na zamknięty lokal po Księgarni imienia Conrada. Tam się nic nie dzieje, a jeden z punktów, gdzie sprzedawano książki (od okresu odbudowy tego domu po II wojnie światowej), znikł. Może zostało to pożarte przez Empik, a może po prostu zabrakło takiej myśli, że księgarnia nie powinna być traktowana na równi z innymi sklepami, że jej prowadzenie nie jest działalnością czysto komercyjną. Tutaj stowarzyszenie może bardzo wiele zrobić, ponieważ może się upominać o takie sprawy. Piszę listy do ministra, do prezydenta miasta. Właściwie odkąd zostałam prezesem, ciągle piszę jakieś listy. Oni nie odpowiadają, ale to nie chodzi o to, żeby odpowiadali. Chodzi o to, żeby uświadamiać, drżyc. Ciągle wisi nad nami opinia z lat dziewięćdziesiątych, którą dobrze pamiętamy, że handel książkami jest tym samym, co handel pietruszką, i powinien podlegać takim samym prawom. To jest towar.

Anna Janko: Empik zaczął sprzedawać wszystko, ciuchy, sprzęt sportowy i elektronikę – wejdźcie sobie na stronę.

Anna Nasifowska: Empik też zaczął mieć problemy i być może ta polityka sprzedawania wszystkiego wcale nie przynosi aż takich dobrych rezultatów.

Chciałabym odpowiedzieć na jeszcze jedno pytanie. Myślę, że na naszym spotkaniu rocznicowym SPP (22 listopada 2019) postawimy tablicę i będziemy pisać różne postulaty. Jeśli się pojawia ferment rewolucyjny, wiele z niego wynika, gdyż na zjazdach nie mamy czasu na dyskusję merytoryczną. Trzydziestolecie Stowarzyszenia Pisarzy Polskich to moment, aby upomnieć się o miejsce literatury, o to, żeby ona była naprawdę doceniana, bo nasza tożsamość jest związana z literaturą. Jest przez literaturę wyrażana i bez literatury jesteśmy zagubieni.

Mówimy krytycznie o latach dziewięćdziesiątych, co teraz stało się politycznie modne (ale my jesteśmy wszyscy w poprzek różnych nurtów, jesteśmy i za, i przeciw, i jeszcze gdzie indziej, jesteśmy zawsze stowarzyszeniem nie bardzo wygodnym, niezależnie od opcji u władzy). Powieść naszego prezesa Piotra Wojciechowskiego *Szkola wdzięku i przetrwania*, pamflet na złudzenia wczesnego kapitalizmu, była książką proroczą. Niestety, bardzo wiele rzeczy się spełniło i trwa między innymi w postaci tego stereotypu, że musi być VAT na książki. Nikt się o to nie upomniał.

Słyszymy przykładowo argument, że to Komisja Europejska domaga się VAT-u na książki. Komisja nie domaga się VAT-u, Komisja Europejska domaga się uregulowania sprawy i negocjacji w sprawie wyjątków. Nie było ze strony polskiej postulatu, że książka ma być traktowana inaczej. Jesteśmy niechlubnym wyjątkiem. Czytelnictwo w Czechach jest wysokie i wynosi 80%. Da się. Można.

Anna Janko: Obniżka VAT-u na książkę elektroniczną w Polsce w ogóle nie zmieni jej ceny, tak się spodziewam. VAT wyniesie 5%, ale to raczej pośrednicy wezmą to, co będzie zyskiem. W ogóle wciąż ów udział autora w zyskach z tego, co się nazywa dziełem, jest marny. Wyraziście to się objawia w przypadku ebooków, mp3, audiobooków, gdzie koszty produkcji oraz dystrybucji są już bardzo niskie w stosunku do wydań papierowych. A jednak na tych właśnie formach wydawniczych autor zarabia najmniej, czasami absurdalnie mało. A przecież jego wkład intelektualny jest dokładnie ten sam! To także odzwierciedla pozycję autora w tym całym procesie, jakim jest „produkcja książki”, jest on niezbędny jako twórca inicjacja. Choć przecież dla zabawy wydaje się czasem książki niezadrukowane, puste w środku, albo prawie puste... Na szczęście to wciąż jest incydentalne.

Piotr Matywiecki: Autorytetów pisarzy trochę już w tej chwili brakuje wśród nas i dlatego opowiem państwu króciusięnką anegdotkę. Być może ostatnią z dawnego pokolenia pisarzy. Pisarką, która miała wśród nas powszechny, ogromny i do dziś trwający (już po jej odejściu) autorytet, była Julia Hartwig. Kiedy byłem w zarządzie Stowarzyszenia Pisarzy, postanowiliśmy się udać z delegacją do telewizji. To był wielki sukces, że łaskawie raczył nas przyjąć ówczesny szef Telewizji Publicznej, który słynął z niebywale komercyjnego podejścia do jej rzekomej misyjności. Ja niestety jestem cholerykiem. W związku z tym gryzłem tego faceta każdym słowem w klatkę piersiową i denerwowałem się straszliwie. On oczywiście gadał swoje z miedzianym czołem i w pewnym momencie zgasiła go cudowna Julia Hartwig. Ja się cholero wałem, a ona takim cieniutkim głosikiem zadała mu następujące pytanie: „Proszę pana, a właściwie to dlaczego wy musicie zarabiać?”. I było widać, że ten facet jest bliski szaleństwa. Nikt mu po prostu nigdy w życiu takiego pytania nie zadał.

Krzysztof Bielecki: Tak czułem, że będziemy narzekać na wolną Polskę.

Anna Nasiłowska: Pani ma jeszcze pytanie.

Gość: Poruszyli państwo tutaj problem naturalnej śmierci terminu „literatura piękna”. Wydaje mi się, że to nie jest tylko kwestia literatury pięknej, ale w ogóle kultury wyższej, bo to są rzeczy nierozłączne. Zadała Pani pytanie: „Jak promować czytelnictwo?”. Samo promowanie czytelnictwa nie załatwia problemu, bo czytelnictwem może być lektura *Pięćdziesięciu twarzy Greya*. To też uznajemy za czytelnictwo. Książki się sprzedają, wydawca się cieszy, czytelnictwo wzrasta. Wydaje mi się, że problemem jest nauka od najmłodszych lat jakości czytelnictwa. Tak jak pan powiedział, można przeczytać dwie książki w ciągu kilku lat, całego życia, ale chodzi o jakość rozumienia tego, po co to robimy. To nie jest kwestia doboru lektur, tylko wytłumaczenia tym najmłodszym pokoleniom, że bez tego nie będzie kultury wyższej. My musimy rozumieć, czemu czytamy klasykę. Dzieci nie będą chciały czytać nudnej klasyki, bo wiadomo, świat jest, jaki jest. Lepiej pograć w grę komputerową. Misją Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, nas jako rodziców czy ludzi kształcących młodsze pokolenie powinno być to, żeby wytłumaczyć młodym, że warto przez tę klasykę przebrnąć i dlatego warto przez nią przebrnąć. Jaka jest wartość tego, że ją przeczytamy. Jakie to jest doświadczenie i co ono nam daje,

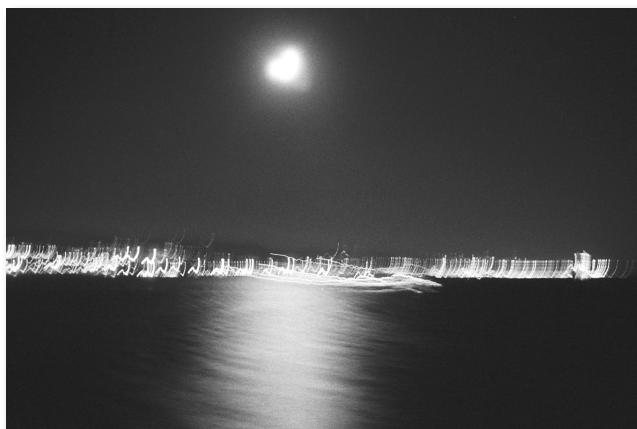
ponieważ na przykład rozmawiam z kolegą, pisarzem, poetą, równolatką i pytam go: „Co cię inspiruje i co czytasz?”. On wymienia mi pisarzy naszego pokolenia, a ja myślę sobie: „Dobrze, okej, to jest ten porwany język, o którym państwo mówiliście – ten bałagan. Fajnie, że czytamy także i to. Piszą to nasi koledzy”. Ale pytam dalej, głębiej: „Z czego wyrastasz?”, a on mówi: „Po co mam czytać głębiej? Ja czerpię z siebie, czerpię ze świata zewnętrznego”.

Anna Nasiłowska: Dziękujemy bardzo za ten głos. To znaczy, że się rozumiemy.

Krzysztof Bielecki: Przez wiele lat było tak, nawet jeszcze na początku lat pięćdziesiątych (i to się łatwo definiowało), że pisanie i czytanie było sposobem na życie, nie mówię, że rodzajem jakiegoś eskapizmu. Nie chodzi o żadne wędrówki i emigracje naszych dusz. Chodzi o to, że rzeczywiście czuliśmy głębszy sens tego wszystkiego. Natomiast teraz, w tym dzisiejszym świecie, pojawia się pytanie: po co czytać? Po co akurat czytać, kiedy można coś oglądać, w coś grać i tak dalej. Można kochać coś zupełnie innego. Więc my, ludzie piszący, musimy zastanowić się nad kondycją (powiem teraz patetycznie, bo bardzo lubię mówić patetycznie) świata jako takiego. Prawda? Po co pisać i po co czytać? Jak udowodnić ludziom, że to jest bardzo głupie pytanie? Głupotę tego pytania udowodnić w najbliższych kilku, kilkunastu latach będzie nam (ludziom bardzo powolotku, bardzo wolno odchodzącym) trudno.

Anna Nasiłowska: Kiedyś „Kwartalnik Artystyczny” (jest takie bardzo elitarne pismo w Bydgoszczy) przeprowadził ankietę pod hasłem: „Po co pisać?”. Po co? Wbrew pozorom dało to bardzo dobre i ciekawe rezultaty. Odpowiedziałam, zaczynając od mojego ulubionego cytatu z Gombrowicza: „Nie jestem ja na tyle szalonym, żebym w Dzisiejszych Czasach co mniemał, albo i nie mniemał”. Proponuję zamknąć tym oficjalną dyskusję i jeszcze chwilę porozmawiać w kuluarach.

16.11.2019, Dom Kultury Ochoty



Jacek Bodzak, *Pasaże literatury*